



Jerzy
Duda-Gracz

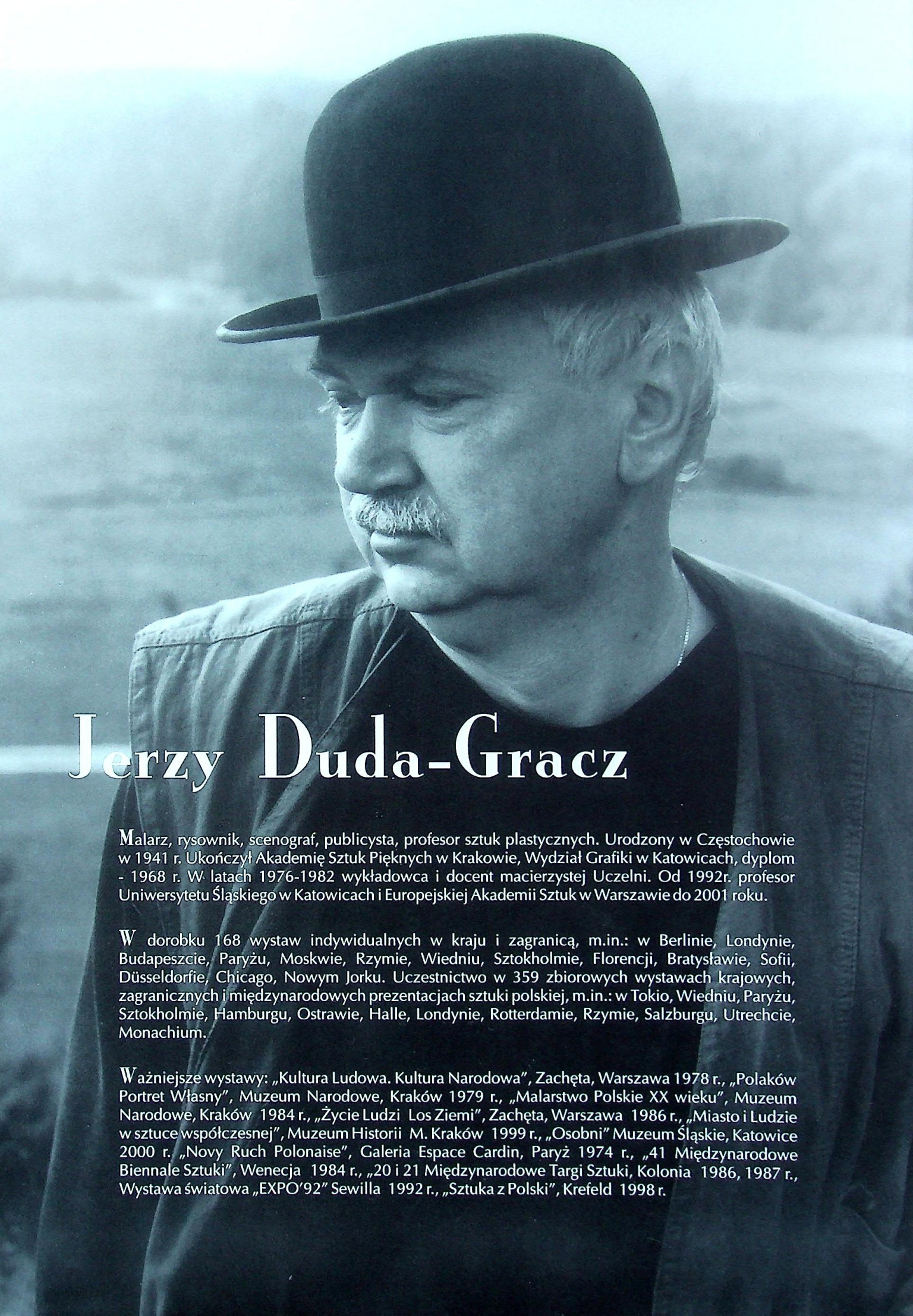
Jerzy Duda-Gracz

obrazy prowincjonalno - gminne
mała retrospektywa 1994 - 2000



GALERIA ZAMKOWA
Lubin

wrzesień/październik 2004



Jerzy Duda-Gracz

Malarz, rysownik, scenograf, publicysta, profesor sztuk plastycznych. Urodzony w Częstochowie w 1941 r. Ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, Wydział Grafiki w Katowicach, dyplom - 1968 r. W latach 1976-1982 wykładowca i docent macierzystej Uczelni. Od 1992r. profesor Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach i Europejskiej Akademii Sztuk w Warszawie do 2001 roku.

W dorobku 168 wystaw indywidualnych w kraju i zagranicą, m.in.: w Berlinie, Londynie, Budapeszcie, Paryżu, Moskwie, Rzymie, Wiedniu, Sztokholmie, Florencji, Bratysławie, Sofii, Düsseldorfie, Chicago, Nowym Jorku. Uczestnictwo w 359 zbiorowych wystawach krajowych, zagranicznych i międzynarodowych prezentacjach sztuki polskiej, m.in.: w Tokio, Wiedniu, Paryżu, Sztokholmie, Hamburgu, Ostrawie, Halle, Londynie, Rotterdamie, Rzymie, Salzburgu, Utrechcie, Monachium.

Ważniejsze wystawy: „Kultura Ludowa. Kultura Narodowa”, Zachęta, Warszawa 1978 r., „Polaków Portret Własny”, Muzeum Narodowe, Kraków 1979 r., „Malarstwo Polskie XX wieku”, Muzeum Narodowe, Kraków 1984 r., „Życie Ludzi Los Ziemi”, Zachęta, Warszawa 1986 r., „Miasto i Ludzie w sztuce współczesnej”, Muzeum Historii M. Kraków 1999 r., „Osobni” Muzeum Śląskie, Katowice 2000 r., „Novy Ruch Polonaise”, Galeria Espace Cardin, Paryż 1974 r., „41 Międzynarodowe Biennale Sztuki”, Wenecja 1984 r., „20 i 21 Międzynarodowe Targi Sztuki, Kolonia 1986, 1987 r., Wystawa światowa „EXPO'92” Sewilla 1992 r., „Sztuka z Polski”, Krefeld 1998 r.

ZAPISKI O ŻYCIU I SZTUCE PRZEMIJANIA

Kończy się drugie tysiąclecie, dwudzieste stulecie, ludzie szaleją z radości, a mnie jest smutno, bo zaczynam sześćdziesiąty rok życia i nie potrafię się włączyć w ten euforyczny karnawał. To przecież tak jak by się cieszyć z jesieni. Zupełny idiotyzm. Chociaż jesienny, złocistożółtobny majestat jest piękniejszy od anemicznozielonej smarkatej wiosenki w kategoriach estetycznych, w kategoriach egzystencjalnych ten fakt nie jest żadnym powodem do uciechy, dumy czy tryumfu.

Czas miniony, jak cień, coraz bardziej się wydłuża, a czas teraźniejszy coraz szybciej zamienia w przyszły i skraca dystans człowieka do horyzontu, czyli kresu jego ziemskiej marszruty. Powinienem zalem przejść nad tą kwestią do porządku, skoro cyfry i daty są nieodwołalne i przypadkowe, ale nie potrafię, bo prowokują do refleksji o przemijaniu i ulegania pokusie podsumowań i prognoz.

Ulegam zalem, pozwalając sobie na prezentację myśli o swoim czasie i twórczości. Nie będzie to może zbyt eleganckie, odkrywcze i mądre, gdyż nie jestem dyplomata, intelektualistą ani filozofem tylko malarzem, ale wolę mówić sam, bo powiem więcej, niż ci co wiedzą lepiej ode mnie. W najgorszym razie zdemaskuję się jako nudziarz i megaloman.

Urodziłem się w Częstochowie, mieszkam na Śląsku, maluję wyłącznie w Polsce, bo jestem człowiekiem chorym na Polskę. Mogę żyć i pracować tylko tutaj. Gdzieś w świecie, najpewniej zgłupiałbym do reszty, zmarniał i wreszcie umarł z tęsknoty. Jestem przywiązany do tego, co moje, bliskie, lokalne i zanurzając się w polskość malarstwa, muzyki, i literatury, od sarmackich trumniaków, poprzez Chopina do Gombrowicza, próbuję ten ukochany, peryferyjny grajdół nie tyle „podnieść do wymiarów wszech, do wymiaru kosmicznego”, ile wyrazić tak, żeby adresaci moich obrazów nie zapierali się rodzinnej ojcowizny, nie wstydzili własnej słomy w butach, swojej tubyleczności i odrębności, bo są jak linie papilarne, niepowtarzalni w tym co dobre i złe.

Czuję się spadkobiercą tradycji i postaw moich Rodziców, Babek i Dziadków. Cząstką polskiej kultury, obyczaju i wiary, będąc też dziedzicem polskich grzechów: głupoty, nieczystości, prywaty, zawiści, obludy i kompleksów.

Skoro wchodzę w nowy czas, zamykając w minionym stuleciu i tysiącleciu moje prywatne sześćdziesiąt lat, powinienem również, jako artysta, obejrzeć się za siebie. I kiedy to robię, to mi wstyd, że nasze grzechy odcisnęły swoje piętno, także na sztuce.

Perły architektury, rzeźby i malarstwa, słusznie traktowane jako wizytówki kulturowej więzi Polaków z Europą, są jednocześnie wstydliwym dowodem naszego prowincjonalizmu i peryferyjnego niedowartościowania, bo w swojej znakomitej większości są z importu: są dziełem rąk obcych artystów.

Z tego, co własne, zostało niewiele. Cząstki odgrzebanych, słowiańskich grodów, trochę ruin zamkowych i klasztorów, parę drewnianych kościółków i resztki staropolskich dworów. Nie ceniliśmy siebie, skoro Ojciec narodowej literatury imię Pan Rej z Nagłowic przekonywał „postronne narody”, że „Polacy nie gęsi i swój język mają”. Najświatlejszy król Stanisław August do malowania konterfektów zapraszał ulizanego maestro Bacciarellego, mając pod nosem dworskich rezydentów i powiatowych mistrzów sarmackiego portretu, a romanyczny Wieszczyk Juliusz rzucił obelgi w Matkę Ojczyznę: „pawiem narodów byłaś i papuga”... Dopiero utrata niepodległości, rozbiory i klęski wymusiły konieczność manifestowania polskości. Dowodzi tego cały wiek XIX i początki naszego stulecia, kiedy następował dynamiczny rozwój polskiej kultury i sztuki, która chociaż bezpaństwową, była obecna od Petersburga, poprzez Wiedeń, Berlin, Monachium, Rzym, Paryż i Londyn, aż do Nowego Jorku. Polscy artyści święcili tryumfy na świecie, obsypywania najwyższymi zaszczytami.

Wraz z odzyskaniem niepodległości znów dobrowolnie uzależniamy się od obcych, kultury i sztuki nie wyłączając. Tak było po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku i tak jest obecnie. Bo kiedy znów, w roku 1989 „wybiliśmy się na niepodległość”, nasze polskie marzenia o wspólnocie z Europą i wymarzoną Ameryką, na czele, odbierają nam rozum. Bezkrytycznie, wciąż nie nasyceni, pakujemy sobie w polskie lby wszelki śmieć, mundurową modę na anglojęzyczny belkot, banal i prymityw amerykańskiego kina, głupotę reklam i mediów, uległość kultury wobec podkultury i godzimy się na paskudzenie sobie tradycji, obyczajów a nawet żarcia, czego np. nie robią Japończycy, szeroko otwarci na postęp świata i szczególnie przed nim zamknięci w kręgu historycznej, narodowej odrębności.

Myślę, że rok 2000 to rzeczywiście dobra okazja, żeby mówić o tym wstydliwym, polskim kłopotcie. Może nawet powinno się go traktować strategicznie i bardziej serio niż obecność w NATO i zabiegi

o członkostwo w Związku Zjednoczonych Republik Europy? Z doświadczeń naszego wieku wiemy, że można odzyskać utraconą wolność i własne państwo, że można odbudować kraj i wskrzesić chorą gospodarkę, ale czy wiemy, że jeśli stracimy odrębność i suwerenność kulturową, to przesłaniemy być narodem?

Już na wstępie, wpadłem w lekko historyczny patos, ale chciałbym bardzo wyraźnie określić swoją postawę jako malarz „Polak Mały”. Dalej zatem będę próbował dowodzić sensu swoich poczynąń, co będzie trudne, bo krytycznie odnoszę się do własnej twórczości, lecz konieczne, aby usprawiedliwić mój chorobliwy polonocentryzm i głęboko zakorzeniony oportunizm artystyczny.

Jedno i drugie, to skutki pierwszych kontaktów ze sztuką, które uformowały mnie już jako artystycznego embriona. Były to albumy i reprodukcje malarstwa w domu rodzinnym, pierwszy i najważniejszy Mistrz prof. Edward Mesjasz, który mnie rozmiłował w polskiej sztuce i wreszcie codzienny kontakt z barokowym malarstwem trumiennym, historycznym i religijnym na Jasnej Górze oraz w częstochowskich kościołach. Późniejsze doświadczenia, nauka w liceum plastycznym i studia w Akademii, poprzez konieczność praktykowania poszerzały i bogaciły moją wiedzę o plastyce współczesnej, ale jednocześnie umacniały opór i bunt wobec większości jej przejawów, otwierały oczy na łatwość jej realizacji, na infantylizm teoretycznych i ideowych fundamentów, a wreszcie na jej skostniały dogmatyzm. Sam fakt, że to co awangardowe i nowoczesne, liczy sobie ponad półtora wieku, może budzić zwątpienie i wesołość. Kim jest właściwie świeżulka, nowa i wciąż poszukująca, ponad stuletnia stara dziewczynka, która twierdzi, że jest jedynym motorem postępu artystycznego?

(Myślę, że po latach dyktatury bolszewickiej, światowej awangardy, rozpasanej i dyskryminującej wszystko to, co jest kontynuacją kultury i sztuki łacińskiej, zachodzi bezwzględna konieczność oddzielenia sztuki klasycznej od „rewolucyjnych” działań multimedialnych, dokładnie tak jak kiedyś oddzielono nowatorskie kino od „tradycyjnego” teatru.

Gdyby to było możliwe, skończyłoby się dziwaczne i przepelnione wzajemną pogardą demokratyczne (?) współistnienie: malarzy, grafików i rzeźbiarzy uważanych za margines współczesnej sztuki i śmieciarzy kreujących się na jej Koryfeusz.)

Zarówno współczesną twórczość jak i późniejsze obrazy, manifestacyjnie budowałem w odniesieniu do polskiej tradycji malarskiej i to nie tylko z powodów wyżej wymienionych. Młodzieńcze bunt i dąsy miałem za sobą, przed sobą dotarcie do ludzi ze swoją sztuką i jej współczesnym przesłaniem. Mogłem to zrobić tylko w zgodzie z tym, co własne, w zachwycie i w pokorze wobec tradycji, ale również dlatego, że ta forma była najbardziej użyteczna. Do wyrażenia poetyki dnia powszedniego, złości, gorczy, ironii i paranoi PRL-u, najlepiej nadawał się ów, zapamiętany z dzieciństwa drapieżny, groteskowy, realizm portretów XVII i XVIII wieku. Tylko dzięki temu, mogłem obrazami mówić o sensie swojego czasu w wieku XX.

Im dłużej żyję, tym bardziej jestem przekonany, że malowanie to czynność bliższa fizjologii niż uniesieniom duchowym. Przed laty Bożena Kowalska, znakomity krytyk sztuki współczesnej, pisząc o moich obrazach stwierdziła, że maluję w sposób obsesyjny. Upływ czasu zdaje się to potwierdzać, bo tylu rzeczy nie mogę, nie chcę, nie potrafię już zrobić. Z tylu spraw zrezygnowałem, z tylu się wycofałem, na tylu przestało mi zależeć, a malowanie wciąż trwa, chociaż nie czuję się przez to ani lepszy, ani wyróżniony. Trudno być dumnym z tego, że muszę malować tak, jak muszę oddychać. I to jest cała filozofia fizjologii mojej twórczości.

Zmieniają się myśli, motywy, rekwizyty, sztalugi, stoły, ołówki, pędzle, palety, szkice i numery obrazów: czas realizacji, sposób pracy...

Modlitewne ślęczenie nad kaligrafią kompozycji z lat 60-70 już dawno poszło w kął. Maluję coraz szybciej i coraz niechlujniej, wisząc na stole lub wrastając w krzesło przed sztalugami i wcale mi nie zależy, sądzę, że nawet nie wypada, aby popisywać się, po latach pedanterią i możliwościami wykonania obrazu. Wręcz przeciwnie. Powinno być widoczne wszystko to, co nieudolne, kulfontaśne, chybione, rozgrzebane. Wszystko to, czego nie pokonałem, nie skończyłem, z czym nie dotarłem do krawędzi obrazu. Dlaczego?

- Bo się spieszę.
- Bo źle widzę i maluję w okularach.
- Bo się nie wstydzę, że nie umiem i nie wiem jak.
- Bo niegdyś precyzja, niczego dziś nie wyraża.
- Bo zawadza mi jak garb doświadczenie.
- Bo się coraz częściej boję pustego obrazu.
- Bo coraz nachalniej płaczę się między paluchami to, co już robiłem sto razy.
- Bo mam świadomość, że obraz i tak popęka, spłowieje i zniknie.

- Bo wreszcie, nie zżera mnie pycha zatroskania o przetrwanie swojego dzieła (dzieła?).

Mimo to, zawsze bardzo serio traktując warsztat, miałem na myśli biegłość oraz umiejętność wykorzystania i zaprzęgnięcia techniki i technologii do uzyskania najpełniejszego wyrazu tego, co chcę powiedzieć. Nie zależało mi na długowieczności obrazu, który nie jest szalą. Tuż po dyplomie, coraz częściej rezygnowałem z płótna, nie przydatnego przy mojej melodzie malowania, na rzecz gładkiej płyty pilśniowej, materiału dość landetnego i drugorzędnego jak świat, który maluję. A robię to jak ostatni skąpiec. Cieniutko, odrobiną farby, lekko i przejrzysto, niemal „akwarelowo” budując obraz z laserunków, przecierania, przeświecania podłoża. Zamiast przeciwdeszczowego, gęstego impasta, jeszcze na studiach marzyły mi się „niemalarskie”, gładkie powierzchnie, na których mogę malować „wszystko”: od nieboskłonu do zrenicy własnego oka, w którym belka przeszkadza mi zobaczyć źdźbło w oku moich bliźnich. W ostatnich latach, kiedy ledwie naszkicuję obraz, gdy tylko pojawi się i odrobinę zmaterializuje jego idea – kończę pracę, bo zależy mi, żeby wyglądał jak duch, jak cień, jak szept. (Tyle dzisiaj krzyku w sztuce). Jednocześnie często i uporczywie pokrywam przejrzyste płaszczyzny obrazu punktami, kleksami i plamami gęstej, olejnej farby, pełniących rolę slygmatycznych znaków i reszek tego, co materialne, czyli na śmierć skazane. O kolorze nie mam się co rozpisywać. Monochromatyczność i asceza barw, z małymi wyjątkami nie ulega zmianom. Wciąż pamiętam o ewangelicznej prawdzie Mistrza Józefa z Kukulówki: „kolor to kolor, ale rysunek, to żelazo”. Kuje je więc, póki gorące, zawsze widoczne choć nie zawsze narysowane.

Tym zmianom towarzyszy też sięganie w ostatnich latach po tekturę, jako podobrazie. Zamieniam twardą płytę pilśniową na aksamitną (i jedwabistą po zagruntowaniu) powierzchnię tektury. Nawet, przy najgłębszym dole psychicznym z powodu niemożności wyrażania czegoś, odczuwam prawdziwą rozkosz w jej dotykaniu. Jest dziwnie „uległa”, miękko poddaje się pieszczotom i uderzeniom pędzla, jakby odpłacała się za swój awans, że zamiast pudełkiem na buty, staje się obrazem. Mimo woli znów pojawia się problem nietrwałości i chociaż dotyczy warsztatu, mam wrażenie, że mówię o nieuchronności i przemijaniu człowieka, jego dzieła i czasu.

Kiedyś o czym już wspominałem, malowałem obrazy spokojnie i bez pośpiechu. Mogłem sobie pozwolić na piękne malowanie brzydoty życia. Nazywano je publicystyką, turpizmem, pasją społeczno polityczną, satyrą, krytyką „wad i przywar” socjalizmu, moralizowaniem i czymś tam jeszcze. „Portrety polskie”, „Motywy polskie”, „Tańce polskie”, „Dialogi polskie”, „Pejzaże polskie”. Były „z natury”: z życia wzięte, życiem napiętnowane i życie komentujące. Były jak pisał Krzysztof T. Toeplitz „rozpięte między rozpaczą a drwiną”: Małą Skarłatą Apokalipsą PRL-u, a nawet „Apokalipsą według Urbana”, czego wściekle dowodził Andrzej Osęka pierwsza gwiazda krytyki plastycznej Polski Ludowej.

Tak było. Ale to, co maluję od połowy lat 80-tych niewiele ma wspólnego z rzeczywistością. Po serii „obrazów jurajskich” i malarskich powrotów w krainę dzieciństwa coraz częściej i dalej odchodzę od realiów i czasu teraźniejszego. Od 1986 roku, malując obrazy „prowinjonalno gminne”, posługuję się zaledwie elementami i cytalami z rzeczywistości w celu tworzenia świata, który nie istnieje. Tak jest! Maluję rekonstrukcje tego co przemija, odchodzi, rozpada się: byłe ulice, stare kościółki, resztki chałup, fragmenty pejzażu. Nie zauważam słupów telefonicznych, sieci energetycznych, stacji benzynowych, reklam, neonów, asfaltu, współczesnych domów, sakraliów i biurowców, bo są bezduszne i brzydkie. Z podobnych powodów nie maluję aul, samolotów, telewizorów, pralek i całego śmietnika cywilizacji, która zapędzi człowieka z powrotem na drzewa, jeśli jeszcze będą istniały. Maluję świat umarły, świat niespełnionych marzeń, świat złożony ze strzępów pamięci, obrazów, starych fotografii, rozmów, tęsknoty, lęków, miłości, goryczy, złości i ciepła.

Wśród postaci zapelniających ów pejzaż coraz mniej ludzi realnych, bo wymierają. Zdarza się jeszcze jakiś robot z PRL-u, jakaś biurwa, „Częstochowianeczka”, tkliwy głupek lub „wiecznie żywy” betonowy lider życia publicznego. Ich miejsce zajmują stare staruszki, lysi staruszkowie, baby, dewotki, kobity w zapaskach i chłopcy w sukmanach. Coraz częściej miesza się z nimi umarlaki, strzygi, wampierze, ogoniaste i paranoiczne debiliusze, deliryczne kolopsy, anielice, pokusy, grzesznice, umarłe dziewczynki, nieżywe i stare hrabianki, zgrzybiali ułani, wypłowiali sarmaci, szlachcianki i husarze. Współczesna dupencja płacze się czasem między nimi, ale tylko po to, żeby uczciwie przyznać się publicznie, na obrazie, do grzesznych marzeń starego świntucha, gdyż dźwięczy mi w uszach przewrotny tryumfalizm kabaretowego hymnu staruszków: „Ziemia młodym, lecz Niebo jest nasze!”



Obraz 2477/Zaduszki - Z.M. Maciejowskiemu
olej, 70x80 cm, 1999

Obraz 2028/Hrebenne - Grzeszny sierpień
olej, 61x80 cm, 1996



Obraz 2475/Lagów - Majaki Jesienne
olej, 70x80 cm, 1999





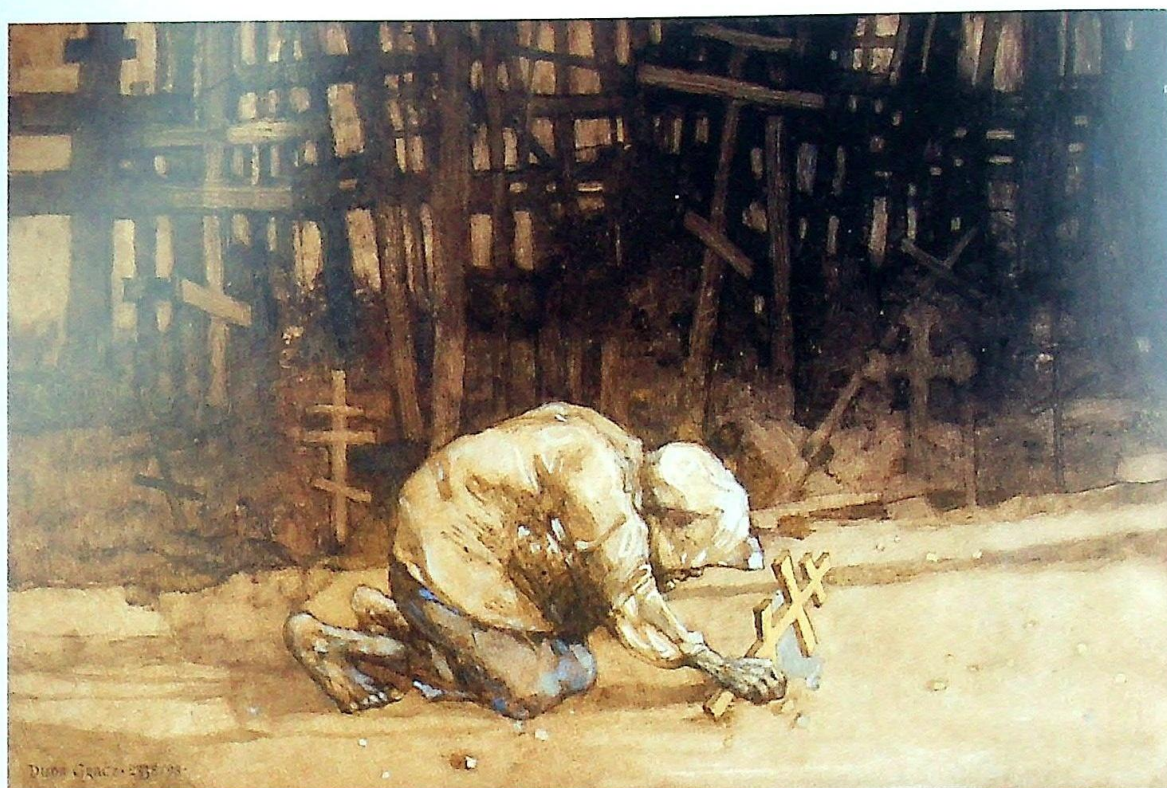
Obraz 1811/Łagów - Powracająca melodyjka
olej, 40x90 cm, 1995



Obraz 2401/Buk - Egzorcyzmy
olej, 92x123 cm, 1999



Obraz 2484/Łagów - Strachy Ogrodowe
olej, 80x60 cm, 1999



Obraz 2338/Grabarka - 5
olej, 100x69 cm, 1998

Obraz 2336/Grabarka - 2
olej, 100x69 cm, 1998





Obraz 2093/Łagów - Osaczony
olej, 80x61 cm, 1997

Obraz 2434/Lagów - Obrażalscy
olej, 92x100 cm, 1999



Bardzo dużo jest tego, z czego sklejam moją malowaną Polskę, spieszę się, żeby zdążyć z tym co gubię w pamięci, co było, (a może nie było?) żeby sportretować kogoś, kto odszedł. Gdzieś Tam. I nie pojmuję czy pamiętam go z obrazu, czy spotkał się naprawdę? Spieszę się, bo moja Polska topi się coraz szybciej jak zeszłoroczny śnieg, a ja chcę zdążyć ją namalować, chociaż to absurd, bo ona jest przecież tylko we mnie i umrze razem ze mną. Ale jak to mówią: credo quia absurdum est. Wierzę w to, choć to niedorzeczne.

Ta wiara pozwala mi również przejść do porządku nad głosami, jakobym był epigonem, naśladowcą i zrezygnowanym kompilatorem, nie tworzącym niczego nowego ani własnego. Znam te opinie, przyjmuję z „dobrodziejstwem inwentarza” i nie zamierzam z nimi polemizować. Nie widzę bowiem potrzeby i nie mogę niczego zmienić w swojej sztuce, gdyż jak już wspomniałem, to, co robię jest we mnie i znajduje się poza zasięgiem spekulacji, strategii wszelkich racjonalnych dyspozycji. Jest tylko to, „co mi w duszy gra” i gdybym próbował wyrazić swój świat inaczej, stałbym się z pewnością cwańszy niż jestem i być może nawet bardziej do zaakceptowania we współczesnej plastyce, lecz wówczas zdradziłbym sam siebie, stał się niewiarygodny dla mojej publiki i ostatecznie odebrał sobie prawo adresowania do niej swoich obrazów.

Może warto dodać w tym miejscu, że jeśli dzisiaj istnieje artysta, który twierdzi, że z niczego nie czerpie, nie korzysta z twórczości innych i tworzy nowe w oderwaniu od starego, to jest to oczywisty megaloman i balwan. Ci zaś, którzy go w tym przekonaniu utwierdzają to saloniowi bandyci, wrogowie sztuki. Ich patronem mógłby być Pablo Picasso, o którym Salvatore Dali powiedział kiedyś: „Jego wielkość polega na tym, że podczas gdy inni robili to latami, on uśmiercił sztukę w jeden dzień”.

Moich Patronów, Aniołów i Świętych Artystów dobrze znacie. Ale przychodzi czas, żeby powiedzieć o Sanktuariach, do których peregrynuję, od kiedy rozpoczęło się malowanie „Obrazów prowincjonalno-gminnych”. Moje Sanktuaria są oczywiście eremickie, położone na peryferiach. Jest tam cicho, pięknie, spokojnie i daleko od zgiełku i oblędu Bardzo Ważnych Spraw Codziennych. Są nieba, chmury, deszcze, śniegi, mgły, wschody i zachody słońca, łąki, pola, trawy, drzewa, ogrody, strumienie, sławy i bajory, stare chałupy, krzywe domki, omszałe ploty... (Obawiam się, czy już tego nie wyliczałem...? Za często coś wyliczam i za dużo chcę wyjaśniać.) Najlepiej malować to wszystko według receptury, wspomnianego już, mojego Patrona z bierzmowania, Józefa Chelmońskiego, czyli „o świecie, podczas mgły, o zmierzchu lub w jasne księżycowe noce”. Wtedy Pejzaz się porządkuje, „plaścieje”, sakralizuje, bo przestaje być igraszką migotliwych, zmiennych impresji słonecznych i najlepiej wtedy widać w nim to, co żywe: Człowieka, Krowę, Psa albo Kurę. Tak się dziwnie układa geografia miejsc, gdzie maluję, że są ułożone na pograniczach, albo ładniej mówiąc, na kresach Polski, w cztery strony świata.

Kiedy pozbierałem prace z ostatnich lat, okazało się, że prawie wszystkie są z kresów, z granic, które rzadko przekraczam, bo za nimi nie mam już nic do roboty. Próbowałem trochę malować na Węgrzech, w Holandii, Anglii, Szwecji, w Niemczech, ale zawsze z marnym skutkiem. Dlatego, przepraszając dotkniętych takim porównaniem, traktuję graniczny szlaban jako znak Ducha Świętego i (przepraszając jeszcze innych), jako dowód, że wolność to zrozumienie konieczności.

Na Południu, gdzie jeżdżę ćwierć wieku, jest wieś Brzegi w Tatrach. Niedaleko Bukowina, Jurgów, Białka, na Głodówkę z panoramą Tatr kawalek, a jak mgły opadną, Gorce widać jak na dłoni. We wsi jest parę chałup starych i więcej nowych, ale brzydkich, a także rzeźbione twarze Wojtanków, Skowyrów, dziadka Dyrconia świętej pamięci i Józka Nowobilskiego, „mrućnego harnasia”. Na Kucówce, choć to nie góra, gazduje z żoną Gizelą Jan Kubarek, co ma słabość do artystów. Jeździłem tam na plenery ze swoimi studentami: Renatą Bonczar, Grzesiem Bialikiem, Jurkiem Botorem, Andrzejem Desperakiem, Beatą Jurkowską, Antkiem Kowalskim, Elą Kuraj, Romanem Maciuszkiewiczem, Piotrem Naliwajko, Ewą Satalecką, Januszem Szpytem, Beatą Wąsowską oraz Eugeniuszem Bednarkiem, Jankiem Bresińskim, Ewą Kwaśniewską-Fojcik, Danką Jarecką, Bożeną Łabędź, Marianem Wilczkiem i Leszkiem Żegalskim, którzy mieszkają i tworzą za granicą. Bardzo się dzisiaj nimi szczycę, bo są świetni i obecni w sztuce, wyjąwszy siódmkę tych „drani”, którzy wyemigrowali, co jest moją bellerską klęską, zem ich Polski za słabo nauczył.

Kawalek drogi od Brzegów jest Zakopane i bliski sercu samotnik Andrzej Dziuk, ze swoim teatrem Stanisława Ignacego Witkiewicza, co pilnie wypełnia w „zaścianku” Gombrowiczowski testament. Do niedawna, był jeszcze przyjaciel i najmądrzejszy Wielki Artysta Władysław Hasior, ale w lipcu na swoich ognistych plakach pofrunął do Nieba. Żal, bo był sztuce i ludziom potrzebny. Bez niego szybciej zgłupiejemy, ale Jemu pewnie nie żal, bo Tam ma spokój. Tam Go już nikt nie opluje za pomnik „utrwalaczy” i za galerię „od komuny”. Pan Bóg nie pozwoli!

Na Wschodzie, na dzisiejszych szczątkowych Kresach, za Bilgorajem jest piaszczyste Nadrzecze i Dom Służebny Polskiej Sztuce Słowa, Muzyki i Obrazu, stworzony przez aktorów: Alicję Jachiewicz i Stelana Szmidta. Od maja do października Dom jest teatrem, salą koncertową i galerią. Występowali tu: Budzisz-Krzyżanowska, Szczepkowska, Siemion, Zapasiewicz i Stupka (Chmielnicki z filmu „Ogniem i mieczem”). Koncertowali: Ochman, Olejniczak, Grześkowiak, Długosz. Wystawiali: Fałat, Maśluszczak, Mazuś, Panfil, Pomagalski i niżej podpisany. Na każde święto w Domu Służebnym albo w kapliczce przydrożnej przygrywają i przyśpiewują, to siostry Różańskie z Rudy Solskiej, to młodzi Janowiaczy z Janowa Lubelskiego, albo Poleskie Sokoly z Żylomierza na Ukrainie. W Nadrzeczu ma również swój dom letniskowy Antoni Fałat, przyjaciel, malarz i Rektor Europejskiej Akademii Sztuk w Warszawie, którą stworzył jako alternatywę dla młodych adeptów sztuki oglupianych gdzie indziej. Tutaj odreagowuje „Warszawkę” i ołoczony kręgiem kochających dziewczyn żony i córek, maluje w spokoju swoje Znakomite Babki, Przeświełnych Dziadków i świat zatrzymany w locie, ciszy i w zneruchomieniu in secula seculorum.

Z Nadrzecza można dojechać do różnych urokliwych Gorajców, Topólczy, Wywłoczek i Poturzynów (ze sławem, starymi drzewami i echem Mazurków Chopina, tutaj skomponowanych) albo do Bełżca, Zwierzyńca, Zamościa i Lublina. A im dalej na północ w białostockie, tym bliżej Świętej Góry Garbarki Jasnej Góry polskiego prawosławia. Tu jest tak, jak by się tu czas zatrzymał: jakbyś czytał Trylogię, odkurzał palace, dworki, kapliczki i pobitewne mogiły. „To wszystko, panie, są słupy graniczne Europy” powiedział mi 15 sierpnia piękny Stary Pan w rogatywce i z błękitną, wypłowiałą wstążką Krzyża Virtuti- Militari na piersi.

Pielgrzymując po Kresach, ze Wschodu na Zachód, muszę przystanąć między rodzinną Częstochową a Wieluniem, gdzie jak serce, w Samym Środku Polski, leży wieś Kamion nad Wartą, gmina Wierzbias. Pojechałem tam w 1987 roku na zaproszenie Lucyny Kuleczko, dyrektorki Biura Wystaw Artystycznych w Sieradzu, oddanej bez reszty ludziom i sztuce. Protegowali mnie w Kamionie łódzcy malarze, Ninka i Edek Habdasowie. W Kamionie, na zakręcie życia, w najcięższych chwilach znalazłem serdeczność, życzliwość i spotkałem przyjaciół: Łodzię Bartoszkę, Basię Dyonizak-Stuss, Sabinę Lonty, Mirkę Machaj, Halinkę Nowicką, Basię Przyłuską, Alinę Sibere, Marię Suwalską, Bronisławę Wilimowską, Jolę Wdowczyk, Helkę Zadrejko, Antka Chodorowskiego, Kasjana Farbisza, Jacka Frąckiewicza, Jacentego Jończyka, Witka Kowalskiego, Pawła Lasika, Tadzia Majdę, Franka Maśluszczaka, Staszka Mazusia, Janka Trojana, Józka Panfila, Jolę Wdowczyk, Mariana Wodzisławskiego. Tych, którzy mi z pamięci uciekli – przepraszam.

Hasłem plenerów była zawsze „odchodząca wieś polska” i tam, na naszych oczach, rzeczywiście marniała. Z sielskiej-anielskiej, z roku na rok, przepoczwarzala się w szkielety stodół, sterczące pod niebo jak rekonstrukcje dinozaurów. Rozwaliska chałup przegrywały każdego lata wojny o przetrwanie i ginęły osłatecznie w uściskach dzikiego wina. Na razie uchowała się stareńka, drewniana kaplica zaczajona w kępie drzew i jedna, jedyna słomiana strzecha, ołoczona korowodem przez żółte panny-dziewanny. Pozostała też Warta i gęsi, które tak jak niegdyś Rzym, teraz ostrzegały Kamion przed śmiercią gęganem, syczeniem i furkotaniem, lecz na próżno. Prywatnie myślę sobie, że kamiońskie plenery zmarniały i padły właśnie przez te gęsi. Chyba głupie jakieś były, czy co?

Na Zachodzie mam Łagów. Domki z pruskiego muru, ogródki, starą wieżę, średniowieczną bramę, jeziora, park i drzewa od srebrzystozielonych do karminowych. Pierwszy raz przyjechałem do Łagowa w 1994 roku. Było, jakby wojna skończyła się wczoraj, jakby Niemcy uciekli, a zaraz po nich Ruscy. I rzeczywiście. Ostatnie jednostki Armii Czerwonej opuścili pobliską bazę wojskową rok temu. Nastal Prawdziwy Koniec Wielkiej Wojny. Trochę dziwna to Ziemia. Trochę obca. Poniemiecka? Odzyskana? Nie chodzę czasem po czyjejs łęsknocie, nie depeczę cudzych łez, albo krzywdy lub pamięci? Okoliczne wsie, bardziej wymarłe niż w Centralnej lub Wschodniej Polsce. Ceglane domki i stodoly bardziej odarte i ślepie, bez okien i drzwi. Na dwadzieścia chałup, cztery kominy kurzą. Młodzi odjechali. Pokochałem Łagów, sąsiednie wsie i miasteczka, bo przemijają tak samo jak wszędzie, ale jeszcze coś się udało dogonić. W Międzyrzeczu gdzie jest największa kolekcja sarmackiego portretu „Dynastie”, w Jemiołowie dziurawy pałac i „Czarna Damę”, w Lubrzy „Wiatr”, w Łagówku „Dobranockę”, w Wystoku „Pieśń Miłosną”, w Smogórach „Skradziony pocałunek”... W stolicy Ziemi Lubuskiej Zielonej Górze razem z festiwałem piosenki radzieckiej padł festiwal awangardy „Złote Grono”, a w Łagowie już 26 lat malują polscy artyści na plenerach Joli Zdrzałik. Wielkiej Damy z wymierającego gatunku społeczników.

A więc Sztuka dla Sztuki?

Nie, to sztuka przetrwania. Dla ludzi.

Na Północ, zwabiła mnie Basia Warzeńska. Ta sama, co wskrzesza Festiwal Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie. Mieszkamy we wsi Buk, na skraju Puszczy Goleniowskiej, w pałacyku Książnicy Pomorskiej, kiedyś von Flemingów. Samej wsi właściwie nie ma. Niedaleko. (plenery są w lutym) szumi wściekle morze w Trzęsaczu, pyszni się Kamień Pomorski i zdychają z biedy popegerowskie wsie: Grylice, Czarnogłowy, Świeżno, Rybokarty i nomen omen Wlewo i Dziadowo. My siedzimy w leśnym odludziu, jak w rodzinnej dziupli. Jest cicho, dobrze i bezpiecznie. Jakiż to luksus, być razem z Tymi, dzięki którym łatwiej wierzyć w to co się coraz trudniej maluje. W końcu korytarza, skąd dobiega pianissimo Mozarta lub Bacha, mieszka Kiejstut Bereźnicki. Jest, jak ze szlachetnych, afirmujących życie renesansowych gobelinów i ze swoich obrazów: pięknych martwych natur, dosłojnych portretów i powściągliwych Scen Męki Pańskiej. Jego Sztuka jest poza czasem. Emanuje spokój i ciszę... Lubię jak Kiejstut jest blisko, mniej się zloszczę i bardziej ważę słowa. Powiedziałbym, że przez Niego w sztuce jest bezpiecznie.

Skupiona cisza jest również za ścianą, przez którą sąsiaduję ze Zbysławem Maciejewskim. Na plenerach w Buku dobrze Mu się pracuje, najlepiej i najwięcej na ostatnim, w 1998 roku. Czasem, kiedy robi sobie przerwę, zagląda do mnie, a po długiej chwili, patrząc na mój obraz, przekrzywia głowę, wydmuchuje w bok papierosowy dym i z pretensją, pół żartem pół serio powiada: „No, ale tę dziewczynkę wzięłeś z mojego obrazu”. Nie protestuję, bo może rzeczywiście Mu ją ukradłem oczarowany, jak wielu. Jego Sztuka?

Kiedy to piszę jest ósmy październik. A jutro na Salwatorze profesor Zbysław M. Maciejewski, Książę Krakowskiego Malarstwa, będzie miał swój pogrzeb.

Mój Przyjacielu Serdeczny!

Pewnie już Ci szykują wieńce i ćwiczą obrzędowy smutek artystyczne miernoty i kurduple, co Cię otaczali. Aktyw Skundlonych Partaczy. Wszedłeś tak wysoko, że ani Cię dogonić ani stracić, ale można udać, że Cię nie ma. Nie zasłużyłeś więc ani na rektorskie berło, ani nawet na własną pracownię w Wydziale Malarstwa. A że to goście pobożni, więc działają z duchem Ewangelii. Za życia byłeś wywyższony, to Cię ponizyli. Żeby zaś i tradycji stało się zadość, po śmierci odśpiewają Ci gorliwie Requiem, bo Kraków przecież tak kocha pogrzeby i tak solidnie chowa swoich Wielkich Zmarłych, jakby nie wierzył w Zmarłychwstanie.

PS.

Nie zegnam Cię. Jak się zobaczymy, to sobie pogadamy za wszystkie czasy.

Twój Jurek sól w oku Ziemi Czarnej

Rozgadałem się, chcąc przybliżyć Państwu myśli i miejsca, gdzie maluję swoją gminną prowincjonalność i swoje Kresy z ostatnich lat wieku. Przy okazji, najpewniej przypadkiem zacząłem wyliczać ludzi, bo ich wciąż ubywa. Antek Chodorowski, Kazik Grześkowiak, Władek Hasior i teraz Zbyszek Maciejewski. Do pokazywania mam jednak i przede wszystkim obrazy. Chcę się nimi podzielić z tymi, których one obchodzą i którzy przyjdą na wystawę. Prezentuję prace z ostatnich pięciu lat, gdyż nie uważam, że jakikolwiek jubileusz powinien być sumą dokonań i osiągnięć, lub powodem do retrospekcji. Wręcz przeciwnie. To świetny czas, by pokazać wszystkie swoje słabości, upadki i zwątpienia, czyli aktualny stan rzeczy, stwarzając w ten sposób rzadką okazję do oceny i weryfikacji, na bieżąco. Jestem przecież wciąż w drodze i z marszu dokonuję prezentacji tego, czym się aktualnie zajmuję. Wyjątkowość sytuacji, stanowi przypadkowy kres wieku. To mój wiek. Urodziłem się w nim i może warto, żeby przez obrazy pokazać to, co myślę, nawet nie o nim, bo nie mam takich aspiracji, ale o czasie i miejscu, w którym jestem. Jeśli nawet okaże się, że coraz mniej rozumiem i głupiej coraz bardziej, albo w ogóle już nie myślę oraz nie mam nic nowego do powiedzenia, to i tak ma to sens, jak rachunek sumienia. Bo wtedy Państwo oglądacze moich obrazów, dokonacie własnej oceny czasu i miejsca, w którym macie lepszą lub gorszą orientację niż ja.

Przy okazji zaś, ocenicie czy się moje obrazy ucukrowały i osłabły, czy są cytalami z przeszłości, nieczonością manierą, czy nowym spojrzeniem; czy się cofam, czy dojrzewam idąc do przodu? I niezależnie od wyroku będziecie mieli satysfakcję z jego ogłoszenia, a ja to, co ogłosicie przyjmę do wiadomości z wdzięcznością, pokorą i radością, bo dacie mi dowód Waszej nieobojętności wobec moich czynów, co przedłuży moje istnienie i dzięki Wam, nie wszelak umrę! NON OMNIS MORIAR! DEO GRATIAS!

Jerzy Duda Gracz

Sponsorzy:



W **Galerii Zamkowej** swoje prace prezentowali:

Teresa Pągowska, Jerzy Nowosielski, Jan Tarasin, Rafał Strent, Józef Hałas, Eugeniusz Get-Stankiewicz,
Andrzej Gieraga, Wojciech Ćwiertniewicz, Wanda Gołkowska, Jan Chwałczyk, Marcin Berdyszak...



Organizatorzy:

Ośrodek Kultury

Wzgórze Zamkowe w Lubinie

ul. Mikołaja Pruzi 7 i 9

59-300 Lubin

tel. (076) 749 69 69; tel./fax (076) 749 69 68

e-mail: wzgorzezamkowe@poczta.onet.pl

<http://strony.wp.pl/wp/okwz>

Dyrektor

Marek Zawadka

Kurator

Piotr Bieruta

Projekt i redakcja katalogu

Piotr Bieruta

CONSPERO®

Fundacja CONSPERO

ul. Kościuszki 44/4

30-105 Kraków

e-mail: conspero@conspero.pl

Tekst wstępu:

Jerzy Duda-Gracz

Zdjęcia:

Wiesław Lipiec

str. 2 - **Leokadia Bartoszek**

Wydawca:

Ośrodek Kultury

Wzgórze Zamkowe w Lubinie

Druk katalogu:

Drukarnia MCKK, Lubin

Copyright by:

© OK „Wzgórze Zamkowe”

Lubin 2004

ISBN 83-87695-36-X

